GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK IV W OBOZIE, DNIA 15 LISTOPADA 1943 R. NR. 22 (78)

ŚLADEM POLSKI JAGIELLOŃSKIEJ

W 25 rocznicę 11 listopada 1918

Tegoroczny listopad budzi w sercach polskich szczególny oddźwięk, gdyż przypada w nim 25 rocznica odrodzenia naszej Rzeczypospolitej po tamtej wojnie światowej. Jako dzień przywrócenia niepodległości wybrany został 11 listopada, kiedy to Józef Piłsudski wrócił wraz z Kazimierzem Sosnkowskiem z niemieckiego więzienia w Magdeburgu i objął powierzoną mu przez naród władzę naczelną.

Niedługą była nasza wolność, zbyt krótki był okres dany narodowi polskiemu dla nadrobienia zaniedbań przeszło 100-letniej niewoli i do odbudowy zniszczeń wojennych. Zerwała się nowa zawierucha; Polska starta została z mapy chwilowych zdobywców Europy, ale wobec świata i historii nie przestała istnieć ani na chwilę. Dzisiaj zaś każdy zdaje sobie sprawę, jak dalece z niepodległością Polski związany był pokój i równowaga w całym przyległym obszarze. Od upadku Polski zatrzęsło się bowiem i popękało sklepienie Europy, a kilka miesięcy wystarczyło, aby wywołać powszechną świadomość, że od istnienia i mocy Rzeczypospolitej zależny był niepodległy byt wszystkich narodów, osiadłych pomiędzy Bałtykiem a Karpatami.



Józef PIŁSUDSKI Pierwszy Marszałek Polski
Naczelnik Państwa 1918 — 1922

Obecnie — w 25 rocznicę 11 listopada 1918 i w przede dniu ponownego odrodzenia Polski — warto wspomnieć o idei, która przez 4 wieki stanowiła podstawę istnienia Polski przedrozbiorowej, a która była też myślą przewodnią Józefa Piłsudskiego, jakkolwiek nie udało mu się jej urzeczywistnić w odbudowie z lat 1918—21. Jest to tzw. idea jagiellońska, która w XIV i XV wieku doprowadziła do dobrowolnego zjednoczenia Polski Piastowskiej i Litwy Jagiełłowej. Była to w swej istocie polska myśl polityczna, która pod chorągwią litewskiej dynastii Jagiellonów zmierzała do skupienia wokół rdzennej Polski wszystkich mniejszych i słabszych narodów od Bałtyku aż po morze Czarne dla wspólnego oparcia się zaborczym sąsiadom. Idea ta doprowadziła do bodaj nie mającego w dziejach przykładu wiekowego zgodnego współżycia trzech odrębnych narodów — Polski, Litwy i Rusi — nie opartego na sile ani na przewadze politycznej, lecz związanego tylko ogniwem wspólnej obrony i polskiej kultury.

Kiedy upadek rosyjskiego caratu w r. 1917, a klęska Austrii i Niemiec w r. 1918 wstrząsnęły posadami Europy, zapowiadając nową „wiosnę ludów“, na czele zmartwychwstającej Polski stanął Józef Piłsudski. Zapragnął on ten wyjątkowy a tak dla nas korzystny wypadek jednoczesnej klęski 3 zaborców wyzyskać w całej pełni dla Ojczyzny, ażeby ją postawić na należytym a poczesnym miejscu

w przemienionej Europie. Pozostawiając Romanowi Dmowskiemu i Komitetowi Narodowemu w Paryżu troskę o polskie granice ze szczególnym uwzględnieniem granic zachodnich, zajął się on osobiście sprawą polskiego wschodu, próbując rozwiązać go w duchu tradycji jagiellońskich i usunąć płynące z tej strony niebezpieczeństwo. Plany jego miały na względzie Wielką Polskę z liberalnym traktowaniem ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i Ukrainy, które zamierzał on związać z nami rodzajem federacji, pozyskując dla tej idei także Łotwę.

Cel był wielki, z dziejów Polski wysnuty, a dbały o dalszy jej rozwój i bezpieczeństwo. Urzeczywistnieniu tego planu poświęcił Piłsudski lata 1919—1920, najpiękniejszy okres swego bogatego żywota. Zdobycie Wilna 19 IV 1919 — Mińska, stolicy Białorusi 8 VIII 1919 — łotewskiego Dźwińska, wespół z armią łotewską, 3 I 1920 — oto kamienie milowe na wytkniętej drodze. Kiedy w odpowiedzi na sowieckie propozycje pokojowe zażądał 31 marca 1920, ażeby Rosja wyrzekła się ziem na zachód od granic z r. 1772 (tj. sprzed pierwszego rozbioru Polski), a następnie, zawarłszy układ z wodzem Ukrainy Petlurą, zdobył Kijów 7 maja 1920 — kroczył Piłsudski wyraźnie śladem ideii jagiellońskiej.

Niestety, wielka ta myśl — cofnięcia biegu historii o lat 150 i całkowitego przekreślenia rozbiorów Polski — nie dała się zrealizować. Zawiódł nie rozumiejący sprawy i już z sobą skłócony Zachód, zawiodła Litwa etnograficzna pod władzą proniemieckiej Taryby, niespodzianą bierność wykazały Białoruś i Ukraina pomimo patriotycznych wysiłków Bałachowicza i Petlury. Ostatecznie plany federacyjne Piłsudskiego przekreślone zostały traktatem ryskim z 18 marca 1921, według którego Polska zrzekła się wszelkich roszczeń do swych dawnych ziem, leżących na wschód od ustalonej granicy, Rosja zaś — także w imieniu Białorusi i Ukrainy — przyjęła to samo zobowiązanie co do obszarów położonych na zachód.

Obecnie, w ćwierć wieku po 11 listopada 1918, patrząc na ziemie Polski historycznej spośród rumowisk powersalskiego porządku Europy, głębiej rozumiemy całą prawdę i siłę myśli Józefa Piłsudskiego. Jest prawdopodobnym, że wielka, skonfederowana Rzeczpospolita — oparta na staropolskiej zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi“ — nie byłaby tak rychło stała się przedmiotem sąsiedzkich napaści i że jeszcze długo pokój byłby panował w nieszczęsnej i skrwawionej Europie.

Stało się jednak inaczej. Ale nawet dzisiaj — jakkolwiek trudnym byłby nawrót do idei jagiellońskiej w ujęciu pierwszego Marszałka Polski — idea ta żyje i ma prawo do bytu w postaci dostosowanej do nowych czasów i zmienionych warunków, a podjętej dalekosiężną wolą gen. Sikorskiego. Tragicznie i przedwcześnie zmarły wódz i mąż stanu, zgodnie ze szczerym nastawieniem całego narodu polskiego, całkowicie uznawał postanowienia traktatu ryskiego jako obustronnie wiążące, rzucając natomiast hasło stworzenia federacji z narodów słowiańskich lub duchowo pokrewnych, osiadłych na południe od Bałtyku a na zachód od granicy ryskiej.

Twórczy ten zamysł, dotyczący przede wszystkim związku Polski z Czechosłowacją, nie bardzo odbiega od pierwotnej idei jagiellońskiej, gdyż nawiązuje do czasów, kiedy to królowie z tejże dynastii zasiadali na tronach Polski, Czech i Węgier, i kiedy dochodziło nawet do unii personalnej (Władysław Warneńczyk, król Polski i Węgier). To szukanie związku z południo-zachodem i południem wymaga jednak jednoczesnego wzmocnienia podwalin Rzeczypospolitej nad Bałtykiem i Odrą — co na tym odcinku oznacza nawrót na tory pierwszych Piastów.

* * *

Koło historii potoczyło się już zbyt daleko, aby myśleć o całkowitym wznowieniu pokojowego dzieła Jagiellonów. Atoli i na teraz i na przyszłość pozostaje aktualna i zachowuje swą moc ich wielka, jednocząca myśl przewodnia — idea bratniego związku wolnych narodów pod hasłem wzajemnej obrony i wspólnego rozwoju.

R. G.



OJCZYZNA

Ojczyzna moja ma błękitne ściany
I złotym słońcem pułap malowany,
i pod pułapem gdzieś w bielonym kącie
legion rycerzy, śpiących na Giewoncie,
i tuż za progiem, gdzieś na skrawku morza,
ku oceanom biegnące bezdroża,
i tuż nad strzechą na zielonym dębie
drapieżne ptaki białe, jak gołębie.

Syconym miodem i żywicą borów
pachną w niej zmierzchy i cisze wieczorów.
Patrzą urokiem dziecięcych zachwytów
błękitne oczy niespokojnych świtów
i zasypiają pod lipą w dzień biały
liliowo-złote lipcowe upały.

Za błękitnymi ścianami na dworze
mili sąsiedzi ostrzą na nas noże.
Mili sąsiedzi — czem chata bogata
gotują dla nas rychły koniec świata.
I czeka na nas za błękitną ścianą
śmierć nieubłagana z twarzą kościaną.

Trzeba rozwalić te błękitne ściany,
zburzyć ten pułap, słońcem malowany.
Wichrem wiejącym przez siwe Giewonty
trzeba otworzyć w domu wszystkie kąty.

Niech one śpiącym śmiertelnie rycerzom
w pierś huraganem straszliwym uderzą,
niech zawołają, żeby ze snu wstali,
bo dom się pali i pułap się wali.

EDWARD SŁONSKI

Lepiej i dostojniej jest grodzianom paść z mieczem w ręku za ojczyznę, niż okupując życie poddaniem, zostać niewolnikiem cudzych ludów.

Bolesław Krzywousty
do Głogowian oblężonych przez Niemców

WRZESIEN W POLSCE

Jedni z ostatnich...

Do dnia 17 września utworzono z rozbitków z różnych frontów Grupę Operacyjną pułkownika Z. Dywizją dowodził płk K. Stan liczebny dywizji tuż po organizacji odpowiadał w przybliżeniu pokojowemu. Były natomiast duże braki w uzbrojeniu i sprzęcie, które jednak częściowo uzupełniono, wypróżniając całkowicie magazyny 50 pp.

Ażeby zrozumieć dobrze prawdę boju dnia 30 września pragnę w paru słowach scharakteryzować żołnierza, z którym wyruszyłem, pragnąc osiągnąć Wyżynę Świętokrzyską, aby tam móc walczyć ramię przy ramieniu z tymi oddziałami, które jeszcze nie złożyły broni. Miał tego dokonać żołnierz-rozbitek, oderwany od swego dowódcy i od macierzystej formacji. Usunęliśmy z naszych oddziałów ludzi chorych i słabych oraz narodowo niepewnych. Częściowe uzupełnienie umundurowania, uzbrojenia i oporządzenia odbyło się ich kosztem. Dzięki dokonanej selekcji stany oddziałów zmiejszyły się znacznie, ale za to duch pozostałego żołnierza stanął na odpowiednim poziomie.

17 września około godz. 14 ruszyliśmy z Kowla, kierując się na południowy zachód. Samoloty sowieckie zrzuciły ulotki, zawierające odezwę Mołotowa do ludów Białorusi i Ukrainy, ale ta kłamliwa propaganda nie wywarła na żołnierzach żadnego wrażenia. Maszerowaliśmy po piaszczystych polnych drogach Wołynia. Od czasu do czasu dłuższy wypoczynek stawał się koniecznością. Obtarte nogi, spragnione usta z piaskiem trzeszczącym w zębach, brak snu i należytego wyżywienia obniżał stopniowo odporność fizyczną i duchową żołnierza. Trzeba było jednak jak najszybciej i najdalej odskoczyć od bolszewików, gryząc się stale z Niemcami, wycofującymi się na ustaloną linię demarkacyjną.

Zadanie płk. Z. nie było łatwe. Siedzieliśmy bowiem w kleszczach, których szczęki zaciskały się coraz bardziej. Mijaliśmy wsie, z których ludność w gorączkowym pośpiechu wynosiła w pole swój dobytek, obawiając się pożogi wojennej. Matczyne łzy radości i pożegnania spływały po zatroskanych twarzach wieśniaczych, bo może spłakane oczy nie prędko znów ujrzą polski mundur, a czułe ucho nie rychło usłyszy płynącą z szeregów polską żołnierską piosenkę. Otoczone drutem kolczastym zgliszcza spalonych wsi i miasteczek w Lubelszczyźnie mówią, że tu bił się, jęczał z bólu i konał z ran twój kolega, twój brat --- sami najbliżsi, bądź przeto godnym ich następcą! Rosła zaciętość u żołnierza. Wyrządzone krzywdy domagały się pomsty.

W takim nastroju wdaliśmy się 28 września w całodzienny bój z Niemcami. Nieprzyjaciel wykorzystując pobliski zagajnik oraz łuny wznieconych pożarów prowadził walkę ogniową aż do wieczora. Przez szosę Janów—Lublin przejść nam nie pozwolił. Dopiero zmierzch ułatwił nam zorganizowane wycofanie się na odpoczynek i posiłek do wsi Wierzchowiska.

29 września ruszamy dalej marszem ubezpieczonym. Wita nas słoneczny poranek jesienny. Około godz. 8,30 słaby ogień artyleryjski postawił wszystkich na nogi. Nieprzyjaciel skierował ogień na las, do którego właśnie weszliśmy. Nagle zapanowała ogólna wesołość: są tu jeńcy niemieccy. Oglądamy ich ze wszystkich stron. Okazuje się, że są to rozbitki z Janowa, gdzie nasza kompania saperów sprawiła im porządne lanie. Ruszamy jednak dalej z zamiarem przebicia się przez szosę w innym miejscu. Marsz trwa całą dobę.

30 września zarządzono całodzienny biwak w lesie. Są już wiadomości, że mamy teraz do czynienia nie z Niemcami a z Moskalami. Po zapadnięciu zmroku mamy całym batalionem przekroczyć szosę Janów — Lublin w rejonie wsi Branew. Piękna księżycowa noc zbliżała się leniwie, powoli ... minuty wydawały się nam godzinami. Szosą maszerują oddziały bolszewickie, słychać warkot czołgów i innych pojazdów mechanicznych.

Kompanie leżą ukryte, panuje zupełna cisza. Palić nie wolno --- brzmi wyraźny rozkaz dowódcy, podawany z ust do ust. Jest godz. 22.

— Szperacze naprzód! Wszyscy bagnet na broń. Przygotować granaty. Rozmawiać nie wolno. Trzymać się zwarcie w pogotowiu. Do szosy tylko półtora kilometra.

Ruszamy. Od czasu do czasu zaklekoce koło u biedki lub wozu, brzęknie gdzieś w oddziale niedopasowana manierka lub menażka, ktoś chrząknie lub zakaszle. Jeszcze 800 metrów, 700..., powoli się wyłania z oparów wieczornych jasna smuga szosy. Naraz z miejsca wzniesienia się drogi błysk małego światełka, jeden... drugi.

— A bodaj to cholera! Wzięli pewnie nasz patrol!

Nie --- to umówiony znak bolszewików. Z oddalonej o dwa kilometry wsi Branew słychać warkot. To czołgi sowieckie jadą pełnym gazem, kierując się w naszą stronę. Decyzja --- bić się.

— Padnij! Przygotować granaty!

Nie mamy działek przeciwpancernych. Czołgi skręcają z drogi i przyjmują szyk bojowy, zionąc piekielnym ogniem karabinów maszynowych i armatek. Nie, nie wytrzymamy.

— Grupkami do lasu wycofuj się!

W odległości 200 m czołgi zatrzymały się, nie przerywając ognia. Stanęły na szosie, strzegąc przejścia. O wypadzie na nie nie może być mowy: księżyc w pełni, noc jasna, teren otwarty, czołgowcy podejść się nie dadzą. Widzą wszystko jak na dłoni.

Trudno, trzeba szukać innego przejścia, a należy się śpieszyć. Następne możliwe przejście jest opodal wsi Branew. Sądzimy, że uda się nam zmylić czujność bolszewików. Przed pół godziną przeszła tamtędy dzielna kompania saperów i szwadron kawalerii.

— Chłopcy, przejdziemy i my --- mówi dowódca. --- Ugrupowanie batalionu: schody w prawo, zmniejszone odległości i odstępy, zagrożenie od strony wsi Branew. Godzina 23,30 wymarsz!

Skulone szare postacie podniosły się od czoła. To ubezpieczenia z błyszczącymi bagnetami i granatem, mocno zaciśniętym w dłoni wyskoczyły do przodu. Za nimi w małych odległościach maszerują ich kompanie. Czołgi, które zatrzymały nas przedtem, wjeżdżają teraz do wsi.

W najwyższym napięciu nerwowym osiągamy wysokość 600 metrów, jeszcze tylko 400... już nie-

daleko --- tylko 200, wtem jeden strzał, drugi, dziesiąty i --- zakotłowało się.

— Hurrra! --- ryknęły piersi żołnierskie.

Walimy do przodu z całej siły, aby jak najprędzej dorwać się do przeciwnika. To przeraźliwe, śmiercionośne »hurra!« jest tak potężne i złowrogie, tak podniecające i mocne, że nie odczuwa się najmniejszego zmęczenia. Napawa ono człowieka niepohamowaną i dziką siłą, której zda się nikt nie jest w stanie przeciwstawić się. Zapomina się o wszystkim, rwąc jeno do przodu z wielkim impetem i zaciskając coraz to mocniej broń w brudnej i spoconej dłoni. Każdy staje się krwiożerczym wilkiem,



Szperacze, bagnet na broń!

który nie zna przeszkód. Wrażenie wyjącej przeraźliwie masy napawa szturmującego nieokiełznaną i niesłabnącą siłą. Jest mu wszystko jedno, byle bliżej, byle szybciej wedrzeć się w szyk wroga i pomścić wyrządzone krzywdy.

Już niedaleko, tylko 100 metrów dzieli nas od bolszewików. Sześć c.k.m. i trzy czołgi odpowiedziały nam potężnym ogniem.

To nic. Hurra, hurra! Naprzód!

W kompaniach zakotłowało się. Smugi pocisków świetlnych lunęły w naszą stronę.

— Padnij! Gdzie cekaemy i artyleria? Nie ruszymy się bez wsparcia --- podać do tyłu!

Ogień nieprzyjaciela osłabł. Hurra! hurra!! zawrzało ponownie ze wszystkich stron, ale zrobiliśmy zaledwie dziesięć kroków naprzód. Tym razem ogień karabinów maszynowych przydusił nas tak mocno do ziemi, że przez trzy godziny nie można było podnieść głowy.

Leżę na twardym, udeptanym rżysku --- bolszewicy rżną ze wszystkich karabinów maszynowych, smugi świetlnych pocisków świszczą i syczą mi tuż nad głową. Bezustanne jęki i nawoływania łączą się w potworną melodię bojową, odbijając się złowieszczym echem o płonące wieśniacze chaty. Pociski bzykają tak blisko, że odnoszę wrażenie, jakby jakiś »krasnoarmiejec« celował wprost do mnie. Wsparcia żadnego nie ma.

— Okopać się! --- przechodzi rozkaz po linii.

Pracuję zażarcie swoim pistoletem i granatem, łopatki bowiem nie mam. Noc widna jak dzień. Drę bez wytchnienia skrwawionymi pazurami ziemię na twardym rżysku, rozpycham ją obcasami, kolanami, łokciami --- byle wgryźć się jak najgłębiej. Jestem cały spocony. Ogień jest tak silny i celny, że głowy nie można unieść ponad ziemię. »Nie wyjdę z tego piekła« przelatuje mi przez głowę błyskawiczna myśl. Słowa gorącej modlitwy kieruję ku Królowej niebios.

Brak łopatek odbił się mocno na naszej skórze. Naraz ogień przeciwnika ustał.

— Komandiry Polaki, zdajtie orużje!

— Hurra, hurra! --- zagrzmiała natychmiastowa odpowiedź.

Gwałtowny ogień bolszewickich karabinów maszynowych zatrzymał nas po kilkunastu krokach. W lewo ode mnie wycofuje się na czworakach jęczący żołnierz. To major Ż. ciężko ranny w obydwie nogi. Podczołgałem się do niego i choć się wzbraniał wyciągnąłem go około 50 kroków, poczem wróciłem na swoje stanowisko. Walka rozgorzała na dobre. Rosyjskie moździerze odpowiedziały nam ogniem na zjadliwe terkotanie naszych maszynek. Głosy rannych słychać i u przeciwnika. Naraz rechot naszych trzech ckm. ustaje --- zabrakło amunicji! Na lewym naszym skrzydle ukazała się czterobarwna rakieta.

— Wpieriod! Wpieriod! --- dochodzą stamtąd wrzaski.

Nasze wycofanie się pod tak silnym ogniem idzie bardzo ciężko. Jednak około dwu kompanii z naszego batalionu uniknęło niewoli sowieckiej.

W tym położeniu ppłk G. postanawia przedrzeć się na drugą stronę szosy o 6 km na północ od wsi Branew. Maszerujemy przez wieś Branewkę, kierując się przez lasy do szosy. O godz. 3,40 dnia 1 października zbliżyliśmy się do szosy na odległość 80 m. Padają strzały: to wita nas obsada sowieckiego gniazda oporu.

— Naprzód! Ruki wwierch, zdajsia! --- wrzasnęliśmy na całe gardło.

Wpadamy tym razem na łeb załodze czołgów i oficerskiej placówki. Zdobywamy dwa czołgi, parę karabinów maszynowych i bierzemy jeńców. Część bolszewików zwiała w panicznym strachu. Czołgi podpalamy --- zabieramy tylko broń i jeńców.

J. Boruta

BACZNOSC, PISARZE I POECI!

Nakładem jednej ze szwajcarskich firm wydawniczych ma się ukazać w języku francuskim książka, złożona z utworów literackich prozą i wierszem, pióra polskich internowanych w Szwajcarii.

Wyznaczony przez dowódcę dywizji komitet redakcyjny wybrał już kilkadziesiąt utworów, głównie zamieszczonych już w »Gońcu Obozowym« i fryburskim »Pamiętniku Literackim«, lub przeznaczonych do zbiorku, wydawanego przez dywizję. Autorzy, będący w posiadaniu jeszcze nie wykorzystanych artykułów, nowel i wierszy, zechcą nadesłać je do 25 listopada do redakcji »Gońca Obozowego«. Chodzi tu przede wszystkim o wrażenia, jakie nasunął pobyt w Szwajcarii i o literacki wyraz nurtujących nas myśli i trosk, związanych zarówno z dniem dzisiejszym, jak i z jutrem — pamiętając, że wydawnictwo przeznaczone jest dla czytelnika szwajcarskiego.

Każdy autor otrzyma 2 egzemplarze bezpłatne książki oraz ewent. niewielkie honorarium. Autorzy prac — jakie dotychczas ukazały się w »Gońcu Obozowym« i »Pamiętniku Literackim« albo przesłane zostały dla wspomnianego zbiorku dywizyjnego — którzy mieliby zastrzeżenia co do umieszczenia ich utworów w tej książce, zechcą zawiadomić o tym komitet redakcyjny na adres redakcji Gońca Obozowego w terminie do 25. XI. br. Brak takiego zawiadomienia będzie uważany za zgodę.

PRZYJAZŃ POLSKO-AMERYKAŃSKA

Stosunki polsko-amerykańskie mają bogatą przeszłość, a cechą ich jest niezwykła serdeczność, która znajdowała zawsze szczególniejszy wyraz w najcięższych okresach historii Polski. Fakt ten tkwi żywo w świadomości narodu polskiego i nie dziw, że w swym obecnym ciężkim położeniu widzi on w przyjaźni polsko-amerykańskiej jedną z gwarancyj swego bezpieczeństwa.

Pierwszym Polakiem, który stanął na ziemi amerykańskiej, był śmiały żeglarz w służbie króla duńskiego, Jan z Kolna, który przybył tam jeszcze przed Kolumbem. Wśród pierwszych kolonistów znalazło się też wielu Polaków. Jako znawcy przemysłu drzewnego i jako zasłużeni pionierzy zostali już w roku 1619 zrównani w prawach osadniczych z Anglikami. Polacy odegrali też rolę w tworzeniu kultury Nowego Świata, albowiem jedną z najstarszych szkół wyższych w Północnej Ameryce, mianowicie akademię w Nowym Amsterdamie, założył w roku 1659 Polak, Aleksander Karol Curcius, a dzisiejszą politechnikę w Nowym Yorku założył Polak Leopold Bocek.

Powszechnie znany jest udział Polaków w walkach wolnościowych Stanów Zjednoczonych. Łączą się z tym nazwiska Pułaskiego i Kościuszki. Ich udział w walkach wolnościowych Stanów Zjednoczonych był podyktowany umiłowaniem tych samych ideałów, które w r. 1787 znalazły wyraz w konstytucji amerykańskiej i w roku 1791 w konstytucji 3 maja.

Swe demokratyczne umiłowania przypłaciła Polska rozbiorami, dokonanymi na niej przez absolutystyczne sąsiednie mocarstwa. Nastąpił wtedy okres walk o odzyskanie niepodległości i wówczas Ameryka przypomniała sobie dług wdzięczności wobec Polski. W roku 1830 liczne były dowody sympatii i ofiarności na rzecz Polaków, myślano nawet o utworzeniu legionu amerykańskiego, nie doszło jednak do tego, gdyż powstanie upadło przedwcześnie.

Kiedy z kolei doszło znowu w Ameryce do walk o zachowanie całości Unii, Polacy wzięli w nich również udział, a ich symbolem stał się generał Włodzimierz Krzyżanowski, dowódca tzw. polskiego legionu, a późniejszy gubernator Alaski z ramienia rządu federalnego. W pięćdziesięciolecie jego śmierci, tj. w r. 1937, powiedział prezydent Roosevelt:

> »Poprzez morza i oceany, poprzez słońce i burze dziejów, Polska i Stany Zjednoczone podają sobie nierozerwalnie ręce, na straży wolności i równości narodów«.

Spotęgowane uczucia przyjaźni znalazły dalej wyraz w żywej pomocy, jaką organizowano w Stanach Zjednoczonych dla powstania polskiego w roku 1863.

Do zacieśnienia węzłów przyjaźni między Polską a Stanami Zjednoczonymi przyczyniła się również emigracja z Polski, która trwała pod wpływem ucisku zaborców przez cały wiek XIX i początek XX. Dzisiejsza Polonia amerykańska liczy cztery i pół miliona ludzi. Do największych organizacyj polskich należy Związek Narodowy Polski (blisko 300.000 członków), Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie (160.000 czł.) i Związek Polek w Ameryce. Naczelną reprezentacją Polaków w Ameryce jest Rada Polonii Amerykańskiej, powołana do życia w 1937 roku dla nawiązania i prowadzenia współpracy z Polską.

Ci Amerykanie polskiego pochodzenia pospieszyli w pierwszej wojnie światowej pod polskie sztandary do Francji, by walczyć o odzyskanie niepodległości Polski. Gorące uczucia sympatii dla Polski były jednak nie tylko udziałem tej grupy, ale i całego narodu amerykańskiego i do tych uczuć mógł apelować Ignacy Paderewski, który stał się na ziemi amerykańskiej wielkim ambasadorem sprawy polskiej. Stanowisko Ameryki wobec Polski znalazło najlepszy wyraz w orędziu prezydenta Wilsona, który uznał za jeden z głównych celów wojny powstanie »zjednoczonej, niepodległej i samoistnej Polski«.

Polska odzyskała niepodległość, jednak 1 września 1939 stała się znowu przedmiotem napaści swego odwiecznego wroga. Podjęła wtedy walkę i prowadzi ją nadal, stając się według słów prezydenta Roosevelta »natchnieniem narodów miłujących wolność«. W tej walce naród polski nie ustaje i wierzy, że i tym razem przyjaźń polsko-amerykańska zostanie uwieńczona odzyskaniem już trwałej niepodległości Polski --- zgodnie z mocnym zapewnieniem, jakie prez. Franklin D. Roosevelt skierował do prezesa Świetlika...

TO i TAMTO

Polacy w Szwajcarii – w XVII wieku

W XVII wieku studiowało wielu Polaków w Bazylei, która posiadała jedyny wówczas uniwersytet w Szwajcarii. Kronika uniwersytecka tych czasów notuje nazwiska dwóch Potockich, dwóch Firlejów, dwóch Prońskich, trzech braci Przystanowskich, trzech Taszyckich, Wojciecha Krasińskiego, Hieronima Ossolińskiego oraz dwóch Leszczyńskich.

Andrzej Leszczyński ofiarował wówczas uniwersytetowi szereg książek, ozdobionych herbem Leszczyńskich, które do dziś dnia znajdują się w bibliotece uniwersyteckiej.

Krol pracuje w przemysle wojennym

Przed kilku miesiącami około 20 osób dworu królewskiego w Anglii rozpoczęło pracę w przemyśle wojennym.

Król Jerzy VI przyglądając się dokładnie ich pracy, odezwał się do przodownika:

»To jest bardzo dobra robota i ogromnie ciekawa. Czy jest ona trudna?«

»O ile się nabierze wprawy, nie« --- brzmiała odpowiedź.

»Myślę, że mógłbym z wami współpracować --- odpowiedział król --- mógłbym na to poświęcić kilka godzin tygodniowo«.

Przodownik zwrócił uwagę, że król musiałby się wprzód zaprawić do tej pracy.

»Jak długo to potrwa?« --- zapytał król.

»To zależy całkowicie od zdolności człowieka, Sir« --- odpowiedział przodownik.

Król zaśmiał się: »Jestem skłonny przypuszczać, że nadam się do tej pracy. Myślę, że mogę zacząć zaraz«.

Bez zwłoki zdjął mundur, przywdział drelichy i przyłączył się do zespołu.

Pierwsza nauka trwała około godziny.

»Tym razem wydajność niewystarczająca« --- ocenił przodownik, lecz dodał, że król ma »zręczne ręce do roboty«.

W następnym tygodniu król osiągnął wymagany stopień wprawy i ku zadowoleniu przodownika wywiązał się bez błędu ze swego zadania. Od tego czasu chodzi król do tych zajęć dwa razy tygodniowo od godz. 18.30 do godz. 21. Pracuje on precyzyjnymi narzędziami i wykonuje swą pracę z dokładnością do 1/100 cala.

ŚWIAT W OGNIU

WRÓŻBY I FAKTY

Wróżby są na ogół efektowne. Cóż dopiero, gdy dotyczą dalszego przebiegu wojny! Marszałek Smuts, premier Unii Południowo-Afrykańskiej, jakkolwiek zastrzega się w ostatnim swoim londyńskim przemówieniu, iż nie jest prorokiem, to jednak ryzykuje twierdzenie, że Sprzymierzeni osiągną ostateczne zwycięstwo w r. 1944. Trzeba przyznać, że twierdzenie to znalazło u marsz. Smutsa rzeczowy podkład w szczegółowym rozbiorze wyników wojny ubiegłego roku. Ci, dla których jej tempo jest wciąż za powolne, zaczerpną z tej analizy niejedną szczyptę optymizmu. Choć, prawdopodobnie, jeszcze 12 miesięcy temu, kiedy armia włosko-niemiecka dobijała się do Aleksandrii i Suezu — wyśmieliby takiego fantastę, który by zaryzykował twierdzenie, że Sprzymierzeni znajdą się w listopadzie 1943 między Neapolem a Rzymem, że w toku będą przygotowania do akcji na Bałkanach, że powstańcy jugosłowiańscy staną u bram Triestu, a Rosjanie zbliżać się będą do Witebska, zdobędą Kijów i odetną Krym, że niemieckie okręty podwodne — ta zgroza wojny morskiej — zmuszone będą przejść z ofensywy do obrony i że — wreszcie — lotnictwo Sprzymierzonych wywalczy sobie panowanie w powietrzu tak dalece, iż zagony jego nad Lipsk, Berlin, Wiedeń czy Gdańsk staną się wydarzeniem codziennym.

Ten pobieżny przegląd wydarzeń uzupełnimy faktem złamania »Osi Berlin-Rzym«, z której, jeśli chodzi o stronę włoską, pozostały jedynie szczątki w postaci chorego nerwowo i mającego rzekomo ustąpić Mussoliniego, oraz zanotujemy zmieniające się zasadniczo nastroje tzw. państw neutralnych czy niewojujących, z których Portugalia oddaje do dyspozycji Sprzymierzonych swoje kluczowe pozycje na oceanie, Hiszpania wycofuje ochotników z frontu wschodniego, a Turcja coraz wyraźniej opowiada się po stronie Aliantów, to wówczas zdamy sobie dokładnie sprawę z tej wielkiej drogi, jaką odbyli Sprzymierzeni w ciągu r. ub. I przyznamy rację sędziwemu marsz. Smutsowi, gdy twierdzi, że »Hitler nie walczy już więcej o zwycięstwo, tylko o wygranie na czasie«, licząc jeszcze na szczęśliwy przypadek, który by — jak to często w dziejach ma miejsce — zmienił naturalny bieg wydarzeń i pozwolił Niemcom na kompromisowe przynajmniej zakończenie wojny.

Skoro już jednak rozpoczęliśmy od wróżb, to może nie od rzeczy będzie poszukać ich również po stronie przeciwnej, a więc po stronie Osi. Niektórzy z przywódców stron wojujących chętnie bawią się w przepowiednie. Cóż dopiero min. Goebbels, ten twórca i kierownik wszechpotężnej propagandy niemieckiej. Przemawiając w październiku r. ub. w Monachium, stwierdził on m. in.: »Kiedy w swoim czasie przeprowadzimy uderzenie na Kaukaz do końca, będziemy mieli w rękach najbogatsze tereny naftowe Europy. A kto ma pszenicę, naftę, żelazo i węgiel — i do tego najpotężniejszą siłę zbrojną — ten wygra wojnę«. Na krótko przed tym, bo we wrześniu tegoż roku, »Völkischer Beobachter« pisał co następuje: »Reich nie jest już dzisiaj oblężoną fortecą. Na lądzie, morzu i w powietrzu Niemcy dyktują przebieg wojny. Drugi front nie może być już w tej wojnie niebezpieczny dla niemieckich sił zbrojnych. Żaden nieprzyjaciel nie dorósł do przeciwstawienia się systematycznie skoncentrowanej potędze narodowo-socjalistycznych Niemiec«.

Nie jesteśmy w stanie przewidzieć (»Goniec« nie jest, niestety, wróżbitą...), czy sprawdzą się przewidywania marsz. Smutsa co do zwycięstwa Sprzymierzonych w r. 1944, natomiast z całą pewnością stwierdzić już dzisiaj możemy, że zapowiadane i przeprowadzone swego czasu niemieckie uderzenie na Kaukaz nie powiodło się, jak nie dało się utrzymać Ukrainy; że poza tym Reich — mimo optymizmu sprzed roku — jest dzisiaj oblężoną fortecą i — co za tym idzie — nie Oś, ale Sprzymierzeni dyktują obecnie przebieg wojny na lądzie, morzu i w powietrzu.

Ale wojny nie wygrywają wyłącznie siły zbrojne. Poza sceną, na której obserwujemy ponure zapasy ludzi i niszczycielskiego sprzętu, działają mniej widoczne, ale nie mniej potężne siły polityczne, warunkujące działania wojenne i kształtujące już podczas przebiegu samej walki oblicze przyszłego świata zwycięzców. Jednym z przejawów uzgodnienia tych sił politycznych była odbyta w Moskwie pod koniec października konferencja ministrów spraw zagranicznych USA, W. Brytanii i ZSRR.

Można wygrać wojnę, ale jednocześnie najhaniebniej przegrać pokój. Poprzednia wojna światowa skończyła się właśnie takim klasycznym przegraniem pokoju. Czy świat, zaskoczony we wrześniu 1939 nową katastrofą — może sobie pozwolić na powtarzanie tego rodzaju krwawych tragedii co kilkanaście czy choćby kilkadziesiąt lat? I jak — poza wygraniem wojny — wygrać wobec tego pokój, o który modlą się ludy całej kuli ziemskiej?

Na te pytania usiłuje odpowiedzieć obóz Sprzymierzonych, walczący pod hasłem szczytnych ideałów wolności i sprawiedliwości na świecie. Nie łudźmy się, że konferencja w Moskwie udzieliła na te pytania wyczerpujących odpowiedzi. Tylko ci, którzy chcieliby rządzić batem, mogą przypuszczać, że za jednym pociągnięciem pióra da się przeobrazić to, co kształtowało się przez dziesiątki lat czy niejedno pokolenie. Była ona — jak konferencja w Casablance czy w Waszyngtonie — jednym z etapów na drodze do przyszłej organizacji świata — i to etapem b. trudnym ze względu na różnice — b. istotne i nieukrywane zresztą — w obozie Sprzymierzonych. Tym cenniejsze są jej wysiłki, które potwierdzają jeszcze raz konieczność ścisłej współpracy i mobilizacji sił wszystkich Sprzymierzonych celem jak najszybszego zakończenia wojny oraz należytego zorganizowania i zabezpieczenia przyszłego pokoju. Wygranie wojny, to — w myśl uchwał konferencji — całkowita kapitulacja i rozbrojenie wroga; ponieść on powinien przy tym karę za wszystkie te przestępstwa, których dopuścił się na podbitych narodach: winni popełnienia tych przestępstw będą sądzeni i karani przez sądy krajów, w których zbrodni swoich dokonali. Jeśli chodzi o przyszłość, to sprawami jej ma się zająć specjalna powszechna organizacja międzynarodowa, jednocząca wszystkie państwa zarówno duże jak i małe, której celem będzie zabezpieczenie pokoju oraz regulowanie spraw współpracy międzynarodowej.

(m)

Pomoc Jeńcom i Internowanym wojskowym w Szwajcarii Y.M.C.A. podaje do wiadomości uczestnikom Konkursu na rzecz Jeńców (monologi, sztuki teatralne, piosenki), iż dla przysporzenia większej ilości utworów literackich, termin nadesłania prac jest przesunięty do dnia 31. XII 1943 r.

SPRAWY POLSKIE

Nasze cele

Według doniesień z Londynu doszło w kraju do porozumienia między czterema najsilniejszymi partiami politycznymi, wchodzącymi w skład rządu, a mianowicie PPS, Stronnictwem Ludowym, ND i Chrześcijańską Demokracją. Na tajnym zgromadzeniu przedstawicieli tych stronnictw uchwalony został program działania, przy czym ustalono jak najściślejszą współpracę aż do chwili zwołania Zgromadzenia Narodowego. Organizacje bojowe tych stronnictw są polską armią narodową, która zadecyduje w walce o przyszłym ukształtowaniu Polski.

Teraźniejszy program stawia przed sobą następujące cele: współpracę ze Sprzymierzonymi na podstawie równouprawnienia, podkreślenie niezależności w wewnętrznych sprawach politycznych, utrzymanie polskiej suwerenności i nienaruszalności polskiego terytorium. Poza tym: Polska musi otrzymać na zachodzie i północy granice, zapewniające szeroki dostęp do morza. Granica wschodnia musi pozostać niezmieniona. Należy dążyć do utworzenia związku państw, którego zalążkiem byłaby federacja polsko-czeska. Zagadnienie mniejszościowe ma być uregulowane na podstawie pełnego równouprawnienia, zaś w sprawach wewnętrzno-politycznych pełne socjalne równouprawnienie i podział praw oraz obowiązków pomiędzy wszystkich obywateli.

* * *

— Narada trzech mocarstw w Moskwie zakończyła się — według komunikatu — pełnym powodzeniem. M. in. były szeroko omawiane sprawy włoskie i ustalono konieczność odbudowy wolnej Austrii. Jednakże tak ważka dla nas sprawa zatargu polsko-rosyjskiego nie znalazła w sprawozdaniu z obrad żadnego echa. W komentarzach prasowych atoli coraz częściej pojawiają się wzmianki o konieczności rewizji naszej granicy wschodniej. Jedno z pism londyńskich wypowiedziało nawet pogląd, że Polacy byliby radzi, mogąc zachować Wilno i Lwów, a rezygnując z obszarów, gdzie ludność polska znajduje się w mniejszości... Pogląd ten nie wydaje się odpowiadać woli szerokich rzesz narodu polskiego, który przecież w obronie nietykalności swych granic chwycił za broń we wrześniu r. 1939.

— Niemieckie władze okupacyjne święcą 4 lecie istnienia tzw. Generalgouvernement. Generalny gubernator dr Frank oświadczył w związku z tym, że dla Hitlera i dla narodu niemieckiego wszystkie historyczne zagadnienia, związane z polskością, są załatwione. Naród polski ma pod niemieckim kierownictwem dla swego dobra i przy zabezpieczonym życiu i pracy kulturalnej wedle swych sił przyczynić się do służby Europie.

Przemawiał także sekretarz stanu dr Bühler: Zarząd niemiecki nie żywi w stosunku do »miejscowej ludności« uczuć nienawiści i nie uprawia polityki wytępienia, lecz jest surowy a sprawiedliwy.

Obok tych słów rozpętała się w Polsce w połowie października nowa fala terroru. Aresztowano tysiące osób, zakładników dziesiątkami rozstrzeliwuje się na ulicach Warszawy, na miejscach, gdzie przez nieznanych sprawców zostało zabitych kilku niemieckich żołnierzy. Niemcy wszczęli wydobywanie zwłok pomordowanych dotychczas ofiar i spalają je w krematoriach, zapewne w celu zatarcia śladów.

— Zbieg z niemieckiego obozu koncentracyjnego, Austriak Ludwig Viktor Tohathy, złożył pod przysięgą zeznanie, że w Sachsenhausen, gdzie przebywał w obozie razem z jeńcami-Rosjanami, dowiedział się od nich, iż sprawcami mordu w Katyniu byli Niemcy, którzy rozstrzelali oficerów polskich przy pomocy karabinów maszynowych, następnie

Z WEDRÓWEK REDAKCYJNYCH

JADE DO WIESENDANGEN



...ku szpitalowi zbiegające się winnice...

Z najprostszymi rzeczami jest często najtrudniej dojść do ładu. Zwłaszcza w tym mocno skomplikowanym życiu naszego internowania. Bo i cóż --- wydawało się --- prostszego, jak zachorować, ażeby dostać się do Wiesendangen celem napisania wreszcie reportażu z naszego szpitala?

Prostota nie zawsze jednak idzie w parze ze spokojem w życiu. Przekonałem się o tym na wstępie w kancelarii szpitalnej.

— Pan w jakim charakterze do nas?

— No, niby... chorego...

— Nie mamy miejsca!

Wysoki i szczupły komendant szpitala, specjalista --- „wnętrznościowiec“ (taki od chorób wewnętrznych) z Warszawy, szybko spisywał tzw. personalia. Nie pytał wprawdzie o maść, uzębienie czy numer butów, ale przyglądał się mnie tak badawczo, iż ani przez chwilę nie wątpiłem, że i te szczegóły skrupulatnie sobie zanotował. Z kolei ogłuszył mnie nagle pytaniem o adres rodziny. (Na wszelki, prawdopodobnie, wypadek --- rozrzewniłem się w duchu --- ażeby ewent. wyekspediować szanowne zwłoki...) i wreszcie dobił ostatecznie autorytatywnym zapewnieniem, że już

zaś kazali ciała pogrzebać właśnie tym Rosjanom, wziętym do niewoli w okolicach Smoleńska...

— Z Moskwy donoszą: Jednostki 1 polskiego korpusu pod dowództwem generał-majora Berlinga, składające się z dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki i dywizji pancernej im. Bohaterów Westerplatte, przełamały w jednym miejscu front niemiecki i zdobyły szturmem pewną ilość miejscowości.

— Wspominaliśmy już o tym, że w szeregach wojsk niemieckich walczy bardzo wielu przymusowo tam wcielonych Polaków. Wielu spośród nich dostało się do niewoli angielskiej. Dano im obecnie możność wstąpienia do wojska polskiego, z czego skwapliwie skorzystali.

— W drugiej połowie października odbyło się w Moskwie zebranie Komitetu narodów słowiańskich. Przemawiała także przewodnicząca „Komitetu patriotów polskich“, Wanda Wasilewska, omawiając działalność partyzantów polskich, którzy mieli się zjednoczyć w armię. Na zakończenie obrad Komitet powziął rezolucję, wzywającą wszystkie słowiańskie i wolność miłujące narody do wzmocnienia walki przeciwko narodowemu socjalizmowi, nazywanemu w Rosji ogólnie »faszyzmem«.

— »Basler Volksblatt« donosi o »ułatwieniach«, jakie dopuszczone zostały w Niemczech przy chrzcie dzieci przebywających tam na robotach Polaków. Tak więc władze niemieckie nie sprzeciwiają się zasadniczo, aby te dzieci były chrzczone przez duchownych niemieckich. Chrzest może się odbywać w kościele lub w zwykłym pomieszczeniu, jednakże zabrania się używania przy chrzcie mowy polskiej, sam zaś chrzest ma być dokonany możliwie skromnie, w obecności najbliższych krewnych, przy czym nie mogą brać udziału Niemcy. Również nie jest dozwolony jednoczesny chrzest dzieci niemieckich. W razie potrzeby chrzest polskiego dziecka może być zawsze zakazany... Na tym ułatwienia się kończą.

WIEŚCI Z FRANCJI

Widmo anarchii

W Paryżu na dworcu Lyońskim zamachowcy umieścili bombę w wagonie, przeznaczonym dla żołnierzy niemieckich. W wyniku wybuchu 20 Niemców straciło życie. W odwet za to władze okupacyjne wzięły większą ilość zakładników, z których 11 rozstrzelano w końcu ub. m.

Jeszcze w miesiącu sierpniu prasa niemiecka we Francji doniosła, że komendantem Paryża mianowano gen. Beinleburg-Langsfielda na miejsce gen. von Schaumburga, nie podając jednak przyczyn tej zmiany. Obecnie koła francuskie w Londynie twierdzą, że gen. von Schaumburg padł ofiarą zamachu. Gdy przejeżdżał ulicami Paryża, zamachowcy obrzucili jego samochód granatami ręcznymi. Dwóch towarzyszących mu oficerów niemieckich poniosło śmierć na miejscu, nie udało się jednak ustalić, czy i gen. von Schaumburg przy tym zginął.

Pod drzwiami i na oknach willi ambasadora de Brinon w Chantilly umieszczono trzy niemieckie miny przeciwczołgowe, z których każda zawierała 10 kg materiału wybuchowego. Od wybuchu mocno ucierpiało mieszkanie, sekretarka ambasadora odniosła ciężką ranę, ale on sam doznał tylko lekkich obrażeń. Zastanawiające, że trzej żandarmi francuscy, którzy mieli pieczę nad mieszkaniem de Brinona, nie zauważyli nic podejrzanego.

Z koszar la Porte-Dieu w Lyonie przewożono w samochodzie więziennym ośmiu aresztowanych Francuzów na dworzec Perrache, skąd mieli być odesłani do Grenoble. Gdy samochód mijał fabrykę tytoniową Brotteaux, posypały się na niego strzały

---

nazajutrz zaaplikują mi... sondę. Zajęczałem wewnętrznie, ale postanowiłem wytrzymać wszystko, jak na prawdziwego chorego przystało.

„Gońcowa“ --- pomyślałem sobie --- skryba jestem i swój honor mam...

Tymczasem do baraku weszło słońce. Zawisło na ustach otoczenia i rozjaśniło jego serca. Zetknąłem się z innymi specjalistami od tzw. medycyny, którzy --- sympatycznie i pogodnie --- jęli się przyglądać swej nowej ofierze.

— Oto ten pan weźmie was jutro w obroty...

Warszawianin wskazał na poznaniaka, jak swój na swego: „ten pan“ okazał się również „wnętrznościowcem“, z tą różnicą, iż ze specjalnym zamiłowaniem oddawał się sprawom żołądka. Przyznaję: trochę przybladłem. Choć za chwilę wstąpiła we mnie szczypta otuchy: mój jutrzejszy kat był przynajmniej wzrostem niewiele większy ode mnie. Instynktownie oceniłem na oko siłę jego mięśni, okrytych zdradziecko białym fartuchem. Tak, na wszelki wypadek.

— A gdyby ewentualnie jakaś operacyjka --- ciągnął z satysfakcją warszawianin --- no, to ten pan...

Pan od „operacyjek“ wydał mi się olbrzymem. Patrzał na mnie badawczo okiem wytrawnego chirurga i — zdawało mi się — fachowo obliczał, jak dużo miejsca zajmie na stole operacyjnym moja coraz to bardziej truchlejąca sylwetka.

Na wszelki wypadek wycofałem się dyskretnie na korytarz.

Niestety, na świecie jest coraz ciaśniej. Zawsze się gdzieś znajdzie przyjaciel. Znalazł się i tym razem. Przyjaciel przeraził się oczywiście z miejsca dziewiczą bielą mojej twarzy i pośpieszył mi w sukurs:

— Ależ nie masz się czego bać! On świetnie operuje! Tysiące doskonałych, udanych operacyj i tyleż żyjących i chwalących go pacjentów --- zapewniam ciebie! Co ci jest? Żołądek? Głupstwo! Szybko się go usunie. Nie? Nie chcesz? Zgoda, zgoda! Wytnie się jedynie części schorzałe. Tyle, ile będzie potrzebne... Wciąż się nie zgadzasz? A więc tyle, ile zechcesz...

Ten, którego z takim entuzjazmem mnie polecał, był ze Lwowa. Mój rozmówca pochodził z Krakowa. Wszystkie większe miasta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zmówiły się na moją zgubę.

Ale jeszcze nie kapitulowałem. Wówczas z pomocą krakowianinowi, tzw. asystentowi chirurgii (komu taki asystuje?!), przybiegł poznańczyk --- taki, co to rozprawia się z sercem i migdałkami.

— Porządek z migdałkami przede wszystkim! --- zaczął. --- To najważniejsze! Obecnie przecież sezon na ich wycinanie! Powiadam panu --- wszystko razem trwa...

Tym razem nie wytrzymałem. Wyrwałem między baraki.

— — — — — — — —

Słońce wczesnego odwieczerza czepiało się lasu, który otaczał zbiegające się ku szpitalowi winnice, i barwiło świat cały na kolor czer-

z pistoletów maszynowych. Kierowca i 3 żołnierzy niemieckich eskorty ponieśli śmierć na miejscu. Wtedy z ukrycia wyskoczyli zamachowcy, obezwładnili czwartego Niemca, który pilnował więźniów wewnątrz karetki, i uwolnili wszystkich aresztowanych.

W Centren zamachowcy wysadzili w powietrze zaporę wodną na Izerze. Na skutek sabotażu wykoleił się pociąg pośpieszny, zdążający z Marsylii do Paryża. W katastrofie 7 osób poniosło śmierć, 25 zaś odniosło rany.

W Lyonie rzucono bombę do tramwaju, zajętego przez lotników niemieckich, z których wielu odniosło rany wskutek wybuchu. Zastępca szefa policji w Tuluzie, Roger Barthelet został zabity przez niewykrytych zamachowców.

Oto wiadomości, jakie codziennie i w wielkiej liczbie napływają z Francji. Lista ich jest ogromna, więc mogliśmy podać tylko kilka najważniejszych i najbardziej znamiennych. Świadczą one o tym, że czynny opór przeciw okupantom niemieckim wzmaga się stale, a zamachy, zwłaszcza na tych, co współpracują z Niemcami, są coraz częstsze i coraz lepiej zorganizowane. Są to zamachy o charakterze politycznym, ale dochodzą do nas wiadomości o innych czynach gwałtu, których liczba wcale nie jest mniejsza od liczby zamachów politycznych.

I tak np. w Côte d'Ore uzbrojeni bandyci wtargnęli do mieszkania pewnej właścicielki sklepu w chwili, gdy siadała z rodziną do wieczerzy. Napastnicy wprowadzili do oddzielnego pokoju właścicielkę sklepu, jej córkę i 19-letnią służącą i wystrzałami z pistoletów wymordowali nieszczęsne kobiety.

Na pewne gospodarstwo koło Lyonu napadło trzech uzbrojonych bandytów, którzy zamordowali właściciela fermy i drugiego mężczyznę, po czym zbiegli bezkarnie, zabierając większą ilość zapasów żywności. W Abbeville zamaskowani bandyci zamordowali 70-letniego rolnika i zrabowali mu 70 tys. franków. W Aubenas (Ardèche) przebrani za policjantów bandyci napadli na sklep Marcela Lacroix i zrabowali mu milion franków. Jego samego zwlekli z łóżka, zakneblowali mu usta i wywieźli 6 km za miasto, porzucając na drodze.

Mnożą się napady rabunkowe, w których giną kobiety, starcy, a nawet dzieci. Lekarzy morduje się w ich gabinetach lub wywabia podstępnie pod pozorem nagłego wypadku na miejsce bezludne i tam odbiera się im życie. I to nie są już zamachy polityczne lecz rozbój i bandytyzm. O tym tak pisze »Nouvelliste de Lyon«:

»Fala terroru nie zmniejsza się, lecz przeciwnie, zda się wzmagać na sile. Wzniesione przeciw niej tamy wydają się niewystarczające. Jeżeli one pękną, to wówczas niszczący zalew anarchii obejmie wkrótce cały nasz nieszczęsny kraj. Nagłość i brutalność napadów najpierw zdumiewała i niektórzy ludzie, co sądzili, że nie są na nie narażeni, zachowywali się początkowo obojętnie. Ale niebezpieczeństwo rośnie, gdyż terroryści przed niczym się nie cofają. Morderstwa, rabunki, podpalania, napady i akty sabotażu mnożą się«.

Walka z terroryzmem to główna troska rządu Lavala. Usunęła ona na drugi plan nawet tak ważną sprawę, jaką jest sprawa zaopatrzenia miast w żywność. Dotychczasowe środki zaradcze: masowe obławy, zwiększenie kadr organów bezpieczeństwa, rozszerzenie uprawnień sędziów, prokuratorów i policji nie dały spodziewanych wyników.

Charakter dokonywanych zamachów i aktów gwałtu każe wnioskować, że płyną one z różnych źródeł. Polityczne są zapewne dziełem tajnych organizacji, których celem jest walka czynna z okupantem. Pozostałe są w niewielkiej części dziełem osobników, wykolejonych przez nędzę i głód, w większości jednak wypadków należy je przypisać organizacji komunistycznej, która, będąc dobrze zorganizowana i uzbrojona, sieje zamęt, by w mętnej wodzie swoje łowić ryby. To stawia przed oczyma Francuzów groźne widmo anarchii.

---

wonej miedzi. Nad dachami przycupniętych w niedużej kotlinie dziewięciu baraków wisiał spokój października, nucącego melancholijnie ostatnie melodie babskiego lata. Szare baraki, snujący się gdzieniegdzie ludzie i jesienny gasnący szybko dzień --- wszystko zapatrzone było w słońce, które lada chwila ustąpić miało granatowym zmierzchom, ciągnącym od strumienia. Nadlatywał ziąb --- zwiastun jesiennej nocy. Wtedy natknąłem się na świetlicę. Ponieważ w każdym baraku szpitalnym jest radio, przeto tutaj w świetlicy panuje cisza bezradiowa. Trochę chorych tkwi nad książkami i listami, dwóch --- jak się wydaje --- zdrowych kręci się nad piecykiem, przystosowywanym na zimę. Zaczynam od tych ostatnich.

— No i jak tam? Coraz zimniej?

Od piecyka podniosły się oczy, zamykające w sobie jakiś własny niepokój. Na okrągłej twarzy nie wykwita uśmiech. Oczywiście --- twierdzą --- tutaj, w Wiesendangen, jest dobrze. Pracuje się w szpitalnej służbie pomocniczej, która liczy około 30 osób. Ale...

— Żonę wywieźli niedawno na roboty. W nocy wywieźli. Spod Konina. Gdzie jest? Co z nią?

Zapada ciężkie milczenie, w którym tłuką się pytania, pozostające bez odpowiedzi.

Rozmowy w świetlicy mają swój specyficzny urok i żołnierski styl. Jest w nich trochę skąpej wylewności i ironii. Nawet w odniesieniu do tematów, o których gdzie indziej mówi się z tzw. łezką. Nie ma tutaj w kantynie, którą prowadzi marynarz z Gdyni, wina --- szpital przecież! — jest za to dobra kawa i nieodłączny »Fib«. Zaciągamy się mocno, opieramy się o stół i, zapatrzeni bezmyślnie w coraz gęstszy teraz mrok, przerzucamy się słowami.

— Żarcia jest dosyć --- ciągnie ktoś z naprzeciwka, z kąta. --- Dla tych, którzy są naprawdę lub ciężko chorzy. Jedzenie zresztą poprawiło się znacznie. Choć niektórzy dokupują...

— Często nie ma za co!

— Jakto?

— No tak! — wybucha ktoś z prawej --- żołd szeregowca, jak tutaj dłużej posiedzi i wyda wszystkie swoje oszczędności od bambra czy z obozu pracy --- nie wystarcza nawet na papierosy. A cóż dopiero mówić o jedzeniu!

— No a sam szpital?

— W szpitalu jak w domu. Ciepło, wygodnie, czysto, żreć dają. I opieka jest. Co ta więcej trzeba? Chyba mamy!

Wybucha śmiech. Izba rozjaśnia się elektrycznością i ciepłym optymizmem.

— Pójdziemy i do mamy, byle jeszcze trochę przeczekać. I nie zwariować.

— A, tam! Nie zwariujesz!

— Mało brakowało...

— Teraz już nie! My ta w pysku i w garści twardzi! *(m)*

(Dok. nast.)

Spieszymy z pomocą

Pomoc dla dzieci polskich

Wszystkie składki, wpłacone na pomoc dzieciom polskim, są każdorazowo ogłaszane w „Gońcu Obozowym“ i w naszych komunikatach. Szczegółowe sprawozdanie kasowe będzie ogłoszone na dzień 31 XII 43. W chwili obecnej natomiast czuję się w obowiązku podać do wiadomości wszystkim żołnierzom 2 Dywizji Strzelców Pieszych ogólne wyniki naszej akcji pomocy dzieciom w Polsce, specjalnie zaś konkretnie osiągnięte rezultaty.

Jak już poprzednio podawałem, dla dzieci w Polsce przesyłana jest obecnie tylko pomoc w naturze, w postaci mleka skondensowanego słodzonego, za pośrednictwem Międzynarodowego Komitetu Pomocy Dzieciom w Genewie (Union Internationale de Secours aux Enfants). W zasadzie każde dziecko, objęte przez nas opieką chrzestną, powinno otrzymać miesięcznie 6 puszek mleka skondensowanego.

Dotychczas doszły do Polskiego Komitetu Opieki nad Dzieckiem w Warszawie następujące transporty: W mies. maju 1943 --- 36 skrzyń o zawartości 1728 puszek a 400 gr, dn. 11 VI 43 --- 600 skrzyń o zawartości 28,800 puszek a 400 gr, dn. 6 IX 43 --- 600 skrzyń o zawartości 28,800 puszek a 400 gr. Ostatnio otrzymaliśmy z Międzynarodowego Komitetu Pomocy Dzieciom w Genewie dobrą wiadomość, iż wysłano znowu 1200 skrzyń mleka (57,600 puszek 400-gramowych), w dwóch wagonach, z których jeden odszedł dnia 4 X, drugi dnia 5 X br.

Otrzymaliśmy również z Polskiego Komitetu Opieki nad Dzieckiem w Warszawie 270 list pokwitowań, na których figuruje kilka tysięcy podpisów dzieci lub ich rodziców, potwierdzających odbiór mleka. Nadchodzi do nas także szereg listów, które stwierdzają jakże wzruszającą nieraz wdzięczność naszych pupilów.

Dowody powyższe świadczą, iż to o co nam najwięcej chodziło, tj. aby pomoc docierała do dzieci polskich, stało się rzeczywistością i że składki nasze nie idą na marne.

Osiągnęliśmy już bardzo piękne wyniki dzięki temu, iż nie szczędzimy grosza na cel tak szlachetny, niemniej jednak nie możemy zaprzestać naszej akcji, gdyż potrzeby bynajmniej się nie zmniejszają, a przeciwnie rosną z dnia na dzień wobec coraz bardziej ciężkich warunków życia w Polsce. Dlatego też jestem przekonany, iż żołnierze 2 D. S. P. opodatkują się na stałe na ten piękny cel. W sytuacji dzisiejszej obowiązkiem naszym jest w miarę możności dopomóc do przetrwania rodakom naszym w kraju. Wysyłka mleka dla dzieci polskich jest najbardziej skuteczną formą tej pomocy.

Dla uniknięcia nieporozumień wyjaśniam, że mleko wydawane jest dzieciom z transportów nadchodzących do Warszawy w kolejności zgłoszeń, tzn. że najpierw wydawane jest ono dzieciom zgłoszonym wcześniej, następnie kolejno tym, które zgłoszone zostały później. Jednakże wszystkie dzieci, bez względu na datę zgłoszenia, należne im mleko otrzymają w ilości odpowiadającej opłaconym na nie składkom. Nie należy zatem niecierpliwić się, jeżeli wiadomości o wydaniu mleka nie nadchodzą natychmiast. Trzeba uwzględnić czas konieczny dla zarejestrowania dzieci i wysłania list z Genewy do Warszawy, oraz długotrwałość transportu w obecnych warunkach. Transporty te jednak dochodzą regularnie i mamy zapewnienie ze strony Komitetu w Genewie, że każde dziecko otrzyma, choćby z opóźnieniem, taką ilość mleka, za jaką opłacone zostały składki.

Składki należy nadsyłać jak dotychczas na ręce kpt. Potoczka Andrzeja, na nowy adres: Internierten-Lager Meilen, Kt. Zürich.

Dowódca Dywizji

W z. PELC, płk dypl.

JOZEF CONRAD-KORZENIOWSKI
(Joseph Conrad)

ZDANIE RACHUNKU*)

Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo, lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół --- tych, którym jesteśmy posłuszni i tych, których kochamy; lecz nawet ludzie nie mający ani jednych ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków --- nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy --- muszą się spotkać z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach --- z niemym przyjacielem, sędzią i natchnionym doradcą.

Mówcie sobie co się wam podoba, lecz jeśli chcemy użyć radości w swym kraju, odetchnąć jego spokojem, spojrzyć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem.

Może to wszystko wyda się wam po prostu sentymentalizmem; i rzeczywiście bardzo niewielu z nas ma dość woli lub też zdolności, aby spojrzeć świadomie w głąb znanych wzruszeń. Zaprzątają nas kobiety, które kochamy, mężczyźni, których szanujemy, tkliwość, przyjaźń, różne szczęśliwe sposobności, rozrywki!

Ale faktem jest niezaprzeczonym, że trzeba dotknąć swej nagrody czystymi rękami, aby się nie obróciła w zeschłe liście i ciernie.

Zdaje mi się, że właśnie samotnicy bez domowego ogniska lub przywiązania, na które by mogli liczyć, ci co powracają nie do domu ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem --- że ci właśnie rozumieją najlepiej jego surowość, jego zbawczą siłę, łaskę jego przedwiecznych praw do naszej wierności, do naszego posłuszeństwa.

Tak! Niewielu z nas to rozumie, ale jednak czujemy to wszyscy, powtarzam: wszyscy bez wyjątku --- albowiem ci, którzy tego nie czują, nie liczą się wcale.

Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i siłę i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem.

*) Urywek z powieści „Lord Jim“. Józef Conrad-Korzeniowski (1857—1924), z pochodzenia Polak, powieściopisarz angielski o światowej sławie, piewca morza i marynarza, życia tułaczy i wygnańców. Do najbardziej znanych utworów należą: „Murzyn z załogi Narcyza“, „Lord Jim“, „W oczach Zachodu“, „Szpieg“, „Smuga cienia“ i in.

Czytelnicy piszą



O błogosławieństwo pokoju

»...My chcemy pokoju! — wołają ruiny rozwalonych miast i spalonych wsi. My chcemy pokoju! — wołają masowe groby na wschodzie, zachodzie, północy i południu. My chcemy pokoju! --- wołają miliony sierot i kalek. Pokoju chcemy! --- mówią łzy milionów wdów. O pokój woła poraniona bombami ziemia, o pokój prosi nasycona ludzką zbrodnią morska otchłań... I nie ma pokoju... Pokój został wygnany...«

Jakże brzmi ta »zasada najważniejsza«, warunkująca jak najlepszą organizację przyszłego pokoju, o który modli się cały świat? Na pytanie to odpowiada nasz stały współpracownik Piotr Adamowski w swoich rozważaniach pt. »Warunek najważniejszy«. Pisze on m. in.: „Na soborze w Konstancji (1414 - 1418) przeprowadził polski prymas Mikołaj Trąba zasadę, że cel --- choćby największy i najświętszy --- nie uświęca zbrodniczych, prowadzących doń środków. Tym --- teoretycznie --- pokonał Zakon Krzyżacki, ale zasady tej nie respektowano i dlatego zamykano oczy, gdy pogańskich Prusów mordowano w imię Jezusa. W taki sposób wytępiono cały naród, na którego ziemi osiedli »apostołowie«, dając początek państwu pruskiemu... Czyż nie warto tego światu całemu --- po wielu wiekach klęsk i mordów --- przypomnieć?

Kościoły chrześcijańskie dążą do pokoju. Ale pokoju nie osiągną. Rządy i dyplomacja dążą do pokoju, ale też go nie osiągną, bo... ludzie nie poznali, nie przejrzeli jeszcze od czego pokój zależy. I nie będzie go tak długo, jak długo nie zniknie zasada, że na ziemi istnieją lepsi i gorsi.

...Trzeba, aby wszystkie religie świata stworzyły trwały związek, oparty na uznaniu i poszanowaniu wzajemnym, a dopiero ten przykład da błogosławieństwo...«

Pisac i krytykowac jest rownie trudno

Autor słynnego już dzisiaj u nas „Jean Boutte'a" napisał kiedyś w „Gońcu": „Od momentu, w którym zostało wyrwane pierwsze gęsie pióro, łatwiej jest krytykować niż coś napisać". Nasz współpracownik, por. M. K., ustala inną zasadę, a mianowicie: „Równie trudno jest krytykować, jak i pisać". W związku z powyższym por. K. dodaje: „Łatwość podawania myśli w formie pisemnej zależy w pierwszym rzędzie od stopnia posiadanego poczucia odpowiedzialności u piszącego. Oczywiście są też i inne niemniej ważne elementy, składające się na łatwość pisania, jak talent, wiedza, doświadczenie itd. Ale ktoś nawet nieposiadający tych cech może pisać z łatwością: tupet i ignorancja zastępują tu cechy dodatnie. Obawa przed moralną odpowiedzialnością wstrzymuje często ludzi nawet utalentowanych przed wyrażaniem swoich myśli w piśmie. Natomiast brak tej obawy ułatwia pisanie ludziom do tego niepowołanym.

Z krytyką sprawa ma się podobnie. Łatwość krytykowania zależy również w zasadzie od poczucia odpowiedzialności (i szeregu innych przymiotów, nadających krytyce jakąś wartość). Krytyk, który zupełnie go nie posiada, krytykuje łatwo. Dochodzimy tu do sedna zagadnienia. Nie tylko bowiem posiadanie wiedzy i talentu będzie istotnym warunkiem wypowiadania swoich uwag, lecz także, a może przede wszystkim --- posiadanie poczucia odpowiedzialności...

Tak więc jeżeli piszący i krytyk, przy równych przymiotach, mają jednakowe poczucie odpowiedzialności, wówczas dla obu wykonywanie ich czynności jest jednakowo łatwe lub trudne".

Glos... zakazany

W powodzi przeróżnych paragrafów, regulujących nasze życie na internowaniu, nie ma, na szczęście, takiego, który by nam zakazywał kontaktów z... dziećmi. A właśnie leży przed nami list niejakiej Berthli Wepfer, z Fehraltorf, w którym czytamy: „Ja już dawno chciałam pisać list do Szanownych Panów, lecz jeszcze nie umiałam tyle dobrze (zachowujemy oryginalne brzmienie listu — Przyp. Red.) po polsku pisać. Ja nauczyłem się już tro hę języka polskiego z Panem Porucznikiem W., który u nas długo mieszkał, ale już teraz nie mieszka i ja nie mam już teraz z kim rozmawiać po polsku. Ja bardzo lubię ten polski język, lecz ja jeszcze nie umiem wszystko dobrze mówić.

My z siostrą (ja mam lat 16 i moja siostra ma lat 11) umiemy już na pamięć dużo polskich piosenek i my umiemy śpiewać polski hymn narodowy. Ja lubię najwięcej słowa następujące: „Mówił ojciec do swej Basi cały zapłakany --- Słuchaj jeno pono nasi biją w tarabany". Jest mi zawsze smutno, gdy to śpiewamy i ja myślę na tych żołnierzy polskich, że tak długo już czekają do powrotu do swej Polski... Teraz ja proszę Szanownych Panów żeby oni byli tak uprzejmi mi przysyłać „Goniec Obozowy", bo ja go bardzo lubię czytać jak mam wolny czas od szkoły.

Teraz ja Szanownym Panom życzę serdecznie wszystko najlepsze, żeby Oni zostali wszyscy zdrowi, dużo szczęścia do pracy i żeby wszyscy mogli już najprędzej wrócić do swojej kochanej Ojczyzny".

Boire comme des Polonais

„Po przeczytaniu artykuliku pod powyższym tytułem w 17/33 numerze „Gońca" nie odnoszę, niestety, wrażenia, iż podobne artykuliki usprawiedliwią nas przed tym naszym nieszczęściem, sprecyzowanym w zacytowanym przysłowiu. Poza tym — pisze Podchorąży z Leysin — znając życie obozu i logikę żołnierza, jestem pewien, że --- po przeczytaniu tego artykuliku --- będzie się on starał udowodnić swoim kolegom i zaimponować wszystkim znajomym, iż potrafi się też upić na wzór kawalerzystów Krasińskiego. Kończy się to wszystko bardzo tragicznie, gdy takiego bohatera koledzy przyprowadzają do obozu. Należy tępić podobne nałogi, ale nie w ten sposób".

Starszy Strzelec

POSZUKIWANIA

569. SERAFIN Tadeusz przez St. Gotfryda, Chateauneuf.
570. st. uł. KRYST Piotr z 9 p. uł. przez strz. B. Żurawskiego, St. Blaise.
571. Jan WIE..., który pisał do Stefanii Kopeć do Niemiec (reszta podpisu nieczytelna) przez Jana Kwiatkowskiego bei Bögli, Ursenbach (Bern).

POSMIEJMY SIĘ

FRASZKA O PRZYDZIALE

Gdy mu dawali do Kanady przydział,
Odrzekł kwieciście, że byłby się brzydził
Sobą na zawsze, jeśli sam pojedzie.
Wszyscy gdy w Anglii pod bombami w biedzie;
Zresztą on tutaj — znacznie potrzebniejszy,
Fraszka, że przydział — o wiele skromniejszy.

Po roku mówią: jedź do Rosji, chłopie,
Już wypocząłeś i masz nerwy zdrowe,
Tam przygotujesz Polsce i Europie
Wolność. Tam wojsko czeka cię gotowe.
Świetny to przydział, sprawa bardzo ważna,
Mądrość potrzebna i ręka odważna.
Prawda, że zimno, lecz kożuch barani
Ciebie ochroni.

Ee... głupie gadanie,
Jam swoje zrobił. Niechaj inni jadą,
A ja z daleka służyć będę radą.
I zresztą tutaj... będę potrzebniejszy
Nic to, że przydział jest znacznie skromniejszy.

I został dalej i w ciepłej bieliźnie
Na własny sposób tu służy ojczyźnie. *A. Ż.*

SKĄPY STRÓJ

— Panie dyrektorze — rzecze artystka kabaretowa — moja ubieralnia jest strasznie mała.

— Ależ moja droga — uśmiecha się dyrektor — na tę troszkę, którą pani na siebie wdziewa!...

PIES A CIELĘ

Myśliwy opowiada chłopu, że kupił właśnie psa, za którego zapłacił paręset franków.

Chłop: — Olaboga, to przecież za tyle pieniędzy można by mieć kilka dobrych cieląt!

Myśliwy: — No tak, ale do polowania pies jest lepszy.

MÓWI SIĘ...

»Czuję się tak bardzo osamotniony« — powiedział pewien pustelnik.

»Coś nie w porządku z moim żołądkiem« — zauważył połykacz noży.

»Jesteś jedyną na świecie, którą kocham — rzekł Adam do Ewy i został jej wierny.

»Niespokojnie dziś śpię« — mruknął lunatyk, spacerujący po dachu.

»Ładnie mi się tydzień zaczyna...« — westchnął skazaniec, prowadzony w poniedziałek na stracenie.

DOKŁADNY NEKROLOG

»Mrs. Anna Craig, która zmarła w Brighton w wieku 101 lat, rozwiązywała krzyżówki jeszcze dwa dni przed zgonem. Była dawniej czynną sufrażystką (zwolenniczką równouprawnienia kobiet. P. Red.), ale zawsze potępiała kobiety, palące papierosy. Lubiła kino i nie znosiła radia. Bała się podchodzić do telefonu. Zawsze żałowała, że nie umie jeździć na rowerze. Była jaroszem. Wyszła za mąż, mając lat 17. Mąż jej umarł pół wieku temu i ostatnio zapominała często, jak mu było na imię. Pozostawiła po sobie 1327 funtów sterlingów«.

UKRYWA SIĘ...

Taka sobie scenka typowa dla Warszawy. W przepełnionym wagonie tramwajowym spotykają się przyjaciele. Jeden stoi w jednym końcu wagonu, drugi w drugim. Rozmowę słyszą wszyscy pasażerowie:

— Jak Boga kocham, to cud, że cię widzę, Marianie! Co się z tobą działo, gdzie byłeś, co robisz?

— Ukrywam się! — odpowiada Marian tęgim, ochrypłym basem, przykładając rękę do ust, aby głos wyraźniej doszedł do przyjaciela.

KIELISZEK WINA

— Mnie nie nabiorą — mawiał często.

I rzeczywiście: nie nabierali go.

Żył więc spokojnie i punktualnie, niczym zegarek mieszczucha.

Raz na tydzień chodził do kina, dwa razy do kawiarni, a codziennie do obiadu wypijał kieliszek wina, po czym sam zakorkowywał butelkę i wstawiał ją do kredensu.

Czasem potknął się na ulicy, lub o trzy minuty spóźnił którąś ze swych zwykłych czynności. To już wkraczało w dziedzinę niezwykłych wydarzeń.

Ale pewnego dnia stała się rzecz straszna. Zauważył, że wina w kredensie ubywa szybciej, niż on je wypija.

Podejrzenie padło na starą służącą, ponieważ ona jedna dzieliła z nim mieszkanie, wiodąc cichy żywot pośród krajobrazu kuchennych gratów.

— Mnie nie nabierze — powiedział i schował resztę wina do biblioteki, a do kredensu wstawił identyczną butelkę, uprzednio napełniwszy ją płynem, który w żadnym wypadku nie może nazywać się winem, ale wprost przeciwnie. (Omijam dość niezręcznie nazwę owej cieczy, aby nie razić czytelników). — Mnie nie nabiorą — dodał raz jeszcze i zacierając rączki udał się do biura.

Po powrocie zjadł smaczny obiadek, po czym zajrzał do kredensu. Zdziwienie jego nie miało granic. W butelce — owszem — ubyło nieco owej cieczy.

— Co u licha? Ona i to wypija?

Następnego dnia powtórzyło się to samo.

Tak ubywało przez tydzień.

— Może kuchta nie ma smaku — pomyślał nie bez uśmiechu.

Po dwóch tygodniach, kiedy ujrzał wreszcie w kredensie pustą już butelkę, postanowił rozmówić się ze służącą.

— Niech no Marysia mi powie — rozpoczął, krztusząc się ze śmiechu, — co też Marysia robi z »winem«, które stoi w kredensie?

— Codziennie jeden kieliszek wlewam panu do leguminy, żeby była smaczniejsza — wyjaśniła stara służąca. *Światopełk Karpiński*

ADRESY: Redakcja: Rédaction du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau).
Ekspedycja: Expedition du Journal des Internés polonais, Baden (Aargau), nr telef. 2.15.71.
Wpłaty dla „Gonca Obozowego" (na blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern.

Cena „Gonca Obozowego":

dla oficerow i aspirantow	**Fr. 0.30**
dla podoficerow i szeregowcow	**Fr. 0.20**
dla osob cywilnych (kwartalnie)	**Fr. 1.80**

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement
Poste de campagne 17